

Michał Przeperski: Rzeczpospolita obywateli. Wolność i sprawczość u progu II RP

Poczucie polskości blisko sąsiadowało z poczuciem odrębności dzielnicowej. Wszyscy pragnęli sprawnego i silnego państwa, ale jednocześnie powszechnie oczekiwano, że władzę lokalną będą sprawowali tuziemcy. Ale jak to osiągnąć, zachowując jakość korpusu urzędniczego? – pisze Michał Przeperski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Odbudowa państwa. Konteksty”.

„Sprawcza rola Polaków była w 1989 r. większa niż 70 lat wcześniej, kiedy skorzystali z koniunktury europejskiej, do której stworzenia sami niewiele się przyczynili. Odbudowanie Polski jesienią 1918 r. stało się możliwe dzięki klęsce poniesionej w pierwszej wojnie światowej przez wszystkich trzech zaborców, pogłębionej dodatkowo chaosem rewolucyjnym, jaki ogarnął Rosję, Niemcy i Austro-Węgry”[1] – pisali w swojej ostatniej książce Daria i Tomasz Nałęczowie. Przed wszystkim wskazywali w ten sposób na sprawczość polskiego społeczeństwa, które według nich w dużej mierze samodzielnie obaliło nad Wisłą komunizm, dając sygnał do zmian na epokową skalę. Przy okazji jednak zdeprecjonowali sprawczość polskiego społeczeństwa w latach 1918-1922. Uczynili to najpewniej nieintencjonalnie bo i, co ważniejsze, niesłusznie.

Warte zacytowania są ostatnie zdania klasycznej „Historii Politycznej Polski 1864-1918” pióra Henryka Wereszyckiego. Pisząc o kalkulacjach zwycięskiej Ententy na to, że będzie mogła rozwiązać „sprawę polską” za pomocą nacisku na Komitet Narodowy Polski – stanowiący de facto rząd na uchodźstwie – wskazywał że zamiar ten spalił na panewce. Dlaczego? „Kalkulacje te rozbiły się o samorzutne działania polskie w kraju”[2] – stwierdzał dobitnie krakowski dziejopis. Owe samorzutne działania polskie w kraju okazały się skuteczne: wykreowały w krótkim czasie stabilną strukturę władzy na czele z Tymczasowym Naczelnikiem Państwa, która dała początek II Rzeczypospolitej.

Bo przecież w ostatnich tygodniach 1918 r. działały się na ziemiach polskich rzeczy niesłychane. Obdarzony kościuszkowskim tytułem i nie mniej niż on charyzmatyczny, Józef Piłsudski bez mrugnięcia okiem wykonał polityczną *mission impossible*. Najpierw zdystansował się od państw centralnych, które choć w ogóle przegrały I wojnę światową, na wschodzie były zwycięskie. Potem zdystansował się od radykalnych postulatów swoich socjalistycznych towarzyszy, z którymi nie tak dawno współtworzył Polską Partię Socjalistyczną. Zamiast wzmocnić swoją władzę zwołując hufce pod czerwony robotniczy sztandar, wybrał sztandar biało-czerwony. Następnie wysłał wojska na (skuteczną) odsiecz Lwowa i rozpisał demokratyczne wybory do Sejmu. Z początkiem 1919 r. młode państwo dość gładko przeszło przez pierwszy poważny kryzys. Był nim pierwszy zamach stanu, dokonany rękoma pułkownika Mariana Żegoty-Januszajtisa. Cóż z tego, że operetkowy? Cóż z tego, że zakończył się gdy szef Sztabu Generalnego gen Stanisław Szeptycki używając nieparlamentarnych słów srogo skarcił żołnierzy próbujących go aresztować? Państwo go przetrwało, a już kilkanaście dni później na czele jej rządu stanął Ignacy Jan Paderewski. Celebryta początków XX wieku: ekscentryczny artysta i gorący patriota, który jak

nikt potrafił przekonać do sprawy polskiej możnych ludzi Zachodu. Trudno wyobrazić sobie, by traktat wersalski podpisany w czerwcu 1919 r. był dla Polski tak korzystny, gdyby nie Paderewski. A że drugim delegatem na konferencję pokojową był Roman Dmowski – ideowy arcywróg Piłsudskiego? Tymczasowy Naczelnik Państwa przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Tak napisana opowieść o początkach II RP jest jak żywcem wzięta ze sztambucha piłsudczyka. I choć jest co do zasady prawdziwa, to jednak – znów! – zupełnie pomija opowieść nieelitarną. Gdzie są w historii Polski polscy obywatele? Weźmy na przykład spontaniczną akcję rozbijania, która zresztą zapisze się w pamięci Niemców jako synonim hańby, ciężący im aż po wrzesień 1939 r. Czy do tych wydarzeń doprowadziło zmęczenie szeregowych w pikielhaubach, którzy mieli dość wojny i półfeudalnego porządku społecznego kajzerowskiej monarchii? Z pewnością tak, zwłaszcza że przygotowano je informacjami radiowymi o zawieszeniu broni podpisanym w Compiegne, a później o buntach marynarzy i żołnierzy. Ale to przecież nie sam Piłsudski rozbroił Niemców na ulicach Warszawy. Uczyniły to setki młodych Polaków, kierowanych patriotycznym imperatywem.

Udział mas Polaków w tworzeniu państwa ma swój nieoczekiwany kontekst. Sytuuje się on w płaszczyźnie polityki historycznej, co świetnie ukazała niedawna książka Jochena Böhlera[3]. W przyjętym przez siebie ujęciu autor Europę Środkową nazywa pograniczem niemiecko-rosyjskim. Od tego już krok do tego, by zakwestionować ówczesne poczucie tożsamości narodowej jego mieszkańców. O ile wydaje się ono częściowo uzasadnione gdy mowa o chłopach, o tyle kwestionowanie świadomości polskiej u mieszkańców miast domaga się już dekonstrukcji w duchu postkolonializmu. Tłumienie dążeń

narodowych znała wszak cała ówczesna Europa Środkowa: Słowacy tłumaczeni przez Madziarów, czy Czesi broniący swego „stanu posiadania” przed Niemcami. Podobnych procesów doświadczyli też Polacy. I to przede wszystkim ich niezgoda na ten stan rzeczy wywołała np. Powstanie Wielkopolskie. Nie chodziło wcale o to że – jak chce Böhler – polskojęzyczni Wielkopolanie wystraszyli się rewolucyjnego chaosu jaki zapanował w Rzeszy. Nie, Polacy byli gotowi na swoje państwo. Pragnęli go gorąco. Mieli na nie pomysł.

Nie znaczy to że był on łatwy do wprowadzenia. Przeciwnie, w 1918 r. między Wielkopolską a Kresami istniały przynajmniej cztery różne Polski. Dojmujące były różnice w poziomie cywilizacyjnym: kulturze rolniczej, infrastrukturze, dostępności do masowej nauki. Jeszcze bardziej niezwykła była mnogość definicji tego czym jest polskość. Oto choćby, gdy na Kresach bezwzględnie stosowano się do zasady „gość w dom, Bóg w dom” i każdorazowo przychyłano gościom nieba, o tyle w Wielkopolsce niezapowiedziana wizyta byłaby niestosownością. Jak tu nie wierzyć we wnioski Michała Łuczewskiego z „Odwiecznego narodu”[4], że ostateczny kształt polskości jest sumą dziejowych zbiegów okoliczności? Tymczasem to właśnie II Rzeczpospolita – wszak jej zręby powstały w latach 1918-1922 – stworzyła model nowoczesnej polskości. Dlatego też zbiegi okoliczności z tego okresu zdają się być istotniejsze niż kiedykolwiek wcześniej w narodowych dziejach.

Poczucie polskości blisko sąsiadowało z poczuciem odrębności dzielnicowej. Wszyscy pragnęli sprawnego i silnego państwa, ale jednocześnie powszechnie oczekiwano, że władzę lokalną będą sprawowali tuziemcy. Ale jak to osiągnąć, zachowując jakość korpusu urzędniczego? Wśród pierwszych zaciągów na Ziemiach Północno-Wschodnich dominowali urzędnicy z wykształceniem podstawowym.

Stosunkowo najlepiej było w Galicji, gdzie w ogóle istniały polskojęzyczne tradycje urzędnicze, ale już gorzej było w Wielkopolsce, gdzie wielu potencjalnych kandydatów potrafiło komunikować się jedynie po niemiecku. Gdy przybywali urzędnicy z innej dzielnicy, początkowo nierzadko traktowano ich jako obcych.

Inna rzecz, że to, czym urzędnicy nasiąkli długotrwałą służbą w zaborczych administracjach nie dawało się łatwo wypłenić. Gdy dawny wiedeński minister skarbu Leon Biliński objął analogiczną funkcję w Warszawie, nad swoim biurkiem zawiesił portret. Nie był to jednak portret Piłsudskiego albo Paderewskiego, lecz wizerunek Najjaśniejszego Pana – cesarza Franciszka Józefa. Jeżeli zaś problem był z kompletowaniem najwyższych urzędów, to co powiedzieć o tych zupełnie lokalnych? Tam miejscami powstawała w bólach, jej surogatem przez długie tygodnie pozostawały samorzwańcze wiece ludowe, nierzadko ulegające radykalizacji i zwracające się przeciwko zamożniejszym współobywatelom. Bywało bowiem i tak, że przedstawiciele ludu patrzyli na Niepodległą oczami zaborców. A ci przecież jeszcze nie tak dawno straszili, że razem z białym orłem pojawi się pańszczyzna, poddaństwo i powszechna nędza.

Nie przyszła pańszczyzna i nie wróciło poddaństwo, zamiast tego przyszła demokracja. Upiorny zbieg okoliczności spowodował jednak, że w nieco ponad miesiąc po pierwszych wolnych wyborach parlamentarnych przeprowadzonych na całym terytorium II RP doszło do zbrodni politycznej, która położyła się cieniem na wielkich osiągnięciach pierwszego czterolecia. Nim w grudniu 1922 r. od kuli niesławnej pamięci zamachowca padł pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz, udało się państwu osiągnąć wiele. Przede wszystkim przetrwało: obroniło się. Obronili je obywatele,

którzy nie pożałowali krwi, majątku, zaangażowania. To oni położyli fundament pod suwerenne państwo. I to również dzięki nim możemy wyśmiać pomysł, by ziemie polskie nazywać pograniczem niemiecko-rosyjskim.

Michał Przeperski

[1] D. i T. Nałęcz, *1989-1990. Czas przełomu*, Warszawa 2019, s. 7.

[2] H. Wereszycki, *Historia polityczna Polski 1864-1918*, Paryż 1979, s. 321

[3] J. Böhler, *Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski*, Kraków 2018.

[4] M. Łuczewski, *Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmiącej*, Toruń 2012.

Wydanie cyklu publikacji realizowane w ramach projektu „1918-1922. Cztery lata Niepodległej sto lat później”. Dofinansowano ze środków Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022 w ramach

Rządowego Programu Dotacyjnego „Niepodległa”

niepodległa

FUNDACJA
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA